

Jan Izydor Korzeniowski

Zagubieni w miłości

Sanatorium – życie za kulisami
W okowach uczuć

Jan Izydor Korzeniowski
„Zagubieni w miłości"

Copyright © by **Jan Izydor Korzeniowski**, 2016
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**
Skład: **Jacek Antoniewski**
Projekt okładki: **Jakub Kleczkowski, Małgorzata Korzeniowska**
Korekta: **Marlena Rumak, Marianna Umerle**
Ilustracja na okładce: **Małgorzata Korzeniowska**

ISBN: 978-83-7900-668-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
http://wydawnictwo.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

Sanatorium. Życie za kulisami 4
W okowach uczuć 187

Miłość dla człowieka, to nektar życia -
rabowany przez kolibry czasu

Sanatorium. Życie za kulisami

Niskie kamieniczki i wieża kościelna pokryte były śniegiem. Drzewa uginały swoje gałęzie pod masą białego puchu strącanego podmuchami wiatru. Było już południe. Słońce, blado oświetlając wąskie uliczki, po których kręcili się nieliczni przechodnie, odbijało się od mokrej jezdni i chodników, i uderzało pierwszymi nadziejami bliskiej wiosny w szyby okienne. Przystanek autobusowy, osłonięty od strony zachodniej murem, upstrzony był plakatami, które – źle przyklejone – powiewały jak kolorowe chorągiewki. Mur kończył się na najbliższej kamienicy o dużych oknach, ukazujących starannie ułożoną wystawę owoców i jarzyn.

Jacek Lange wysiadł na tym przystanku i rozejrzał się wokoło bezradnie. Dreptał przez chwilę w miejscu, nie mogąc się zdecydować, w którym kierunku pójść. Długi mur od przystanku do sklepu miał w sobie coś z drogowskazu, więc podświadomie ruszył wzdłuż wskazanego mu kierunku, minął sklep warzywny

i skręcił w biegnącą w dół uliczkę. Kiedy znalazł się przy ostatnim budynku przystanął zdezorientowany na mostku, przestępując z nogi na nogę, ubijając warstwę śniegu (w tym miejscu jeszcze dość świeżego), patrzył na ścianę starych świerków pokrytych białym puchem, wyrosłych niespodziewanie przed nim. Ciężkie buty uderzały głucho o deski mostku, pod którym szkliła się taflami lodu wartko płynąca rzeczka.

Było oczywiste, że obrał zły kierunek. Ulica urywała się na mostku i uciekała wąską ścieżką w las. Jacek Lange, czterdziestoletni mężczyzna, szczupły, o dobrej prezencji, oczach niedźwiadka koala, zielonoszarych i naiwnych, źle się czuł z torbą przewieszoną przez ramię, której pasek wciskał się w kożuch ściągając rękaw.

Ale nie ta torba była powodem, że czuł się nieszczęśliwy i patrzył niechętnie na ten świat, w którym dość nieoczekiwanie przyjdzie mu spędzić najbliższe cztery tygodnie. Towarzyszyło mu uczucie osamotnienia i opuszczenia.

Bronił się przed tym wyjazdem, ale kadrowa i kierowniczka działu w banku, gdzie Lange był podrzędnym urzędnikiem, uknuły – jak to nazywał – spisek przeciwko niemu i wysłały go do sanatorium. Nim się zorientował, miał już skierowanie w rękach i nie pozostawało mu nic innego jak pakować torbę i jechać. Wiedział po kilku latach pracy w tej niewątpliwie szacownej i zasłużonej, obracającej tonami banknotów instytucji, że wszelkie opory wobec tych kobiet na nic by się nie zdały. Wolał nie ryzykować gorzkimi wymówkami, szczególnie w stosunku do kadrowej – suchej, kościstej, jeszcze młodej kobiety o szarej, papierowej cerze na brzydkiej twarzy. Jego szefowa to tęga kobieta, wiecznie zakochana, tym razem w Jacku Lange.

Nie, nie czuł się chory. Cieszył się dobrym zdrowiem, a małe niedotlenienie mięśnia sercowego nie miało większego znaczenia,

a przynajmniej takiego, aby wymagało leczenia sanatoryjnego. Kobiety jednak – korzystając ze znajomości w świecie lekarskim – uchwaliły, że pobyt w sanatorium dobrze mu zrobi. Rad, nie rad, wsiadł do autobusu i po kilku godzinach jazdy znalazł się w uzdrowisku.

Świat jest pełen uroku tylko dla tych, którzy patrzą na niego życzliwym okiem. Jednak oko Jacka Lange miało już defektywne pole widzenia, więc patrzył na wszystko zezem, a odbierane negatywne skojarzenia wywoływały u niego niepewność, a nawet lęk przed nieznanym. Zresztą nie tylko tutaj, ale wszędzie, gdzie ocierał się o coś nowego, co nie miało jego kapci, fotela i telewizora. Inaczej mówiąc – życie przechodziło koło niego i uciekało w dal, a on tego nie zauważał, bierny wobec świata, jego dramatycznych spraw i uwijających się ludzi.

Izolacja to spokój, a on kochał spokój.

Kiedy przez kilka lat coś komuś się powtarza, to ten wreszcie zrozumie, że to coś musi być prawdą, więc Lange uwierzył, że jest chory i potrzebuje wypoczynku w sanatorium. Jacek Lange był kawalerem, samotnikiem, łatwo poddającym się wpływom innych, który lubił swoją pracę, choć nazywał ją monotonnym piekłem. Były jednak chwile, że uciekłby od niej, odizolowałby się od tych papierków, przekazów i cyfr, jeżeli w ogóle można zakładać, że w piekle da się to zrobić. Wyczuwał, że obie kobiety wysłały go tu, do tego zaśnieżonego uzdrowiska, nie w trosce o jego zdrowie, ale po to, by pozbyć się go na jakiś czas z banku.

Do takiego smutnego przynajmniej doszedł wniosku. Dziwne, ale ludzie żyjący w piekle tak się do niego przyzwyczajają, że nie chcą go opuścić nawet na krótki czas, bojąc się nowego, innego nieznanego, może innego piekła. W tym banku jest jego własne piekiełko, w którym Lange czuł się dobrze, traktując

go jak własny dom i rodzinę. Do tej kategorii ludzi należał. Ludzi traktował łagodnie, uprzejmie, z uśmiechem, lecz bez najmniejszej emocji, tak jak się traktuje biurka pełne szarych papierów. Nigdy się nie unosił gniewem, nienawiścią czy pogardą, lecz też nigdy nie był zakochany, choć czasami marzył o miłości, bo Jacek Lange w ogóle lubił marzyć. Czekał na swoją wielką miłość od czasu, gdy skończył osiemnaście lat, gdyż był to wiek, w którym uważał, że już może marzyć o kobiecie.

Duża czapa śniegu upadła z pobliskiego drzewa i zsunęła się po skarpie prosto do rzeczki. To był sygnał, że należy wracać.

Po kilkunastu minutach znalazł się znowu przy przystanku autobusowym i wszedł pomiędzy dwie kamieniczki dające początek uliczce. Przez pewien czas plątał się nie mogąc trafić pod wskazany na skierowaniu adres. Wreszcie zmęczony, pokonując swoją nieśmiałość, czerwieniąc się, zaczepił wysunięty z dużego szala nos i spytał o sanatorium „Ciepły Zdrój". Właścicielka nosa, stara kobieta, wyciągnęła rękę i powiedziała krótko:

– A dyć tu!

Wyjąkał słowo podziękowania i ruszył wskazaną pochylnią, trafiając prosto w stalowe drzwi prowadzące do trochę staroświeckiego budynku sanatorium.

*

Lucyna Krusicka usiadła na krześle, które słusznie zatrzeszczało pod jej ciężarem i rzuciła łapczywym wzrokiem na wazę z zupą. Jedzenie było zawsze ważnym elementem życia tej kobiety, to też z przyjemnością wdychała zapach grzybów unoszący się z naczynia. Podniosła chochlę i nabrała trochę zupy, sprawdzając fachowo jej konsystencję i składniki. Cmoknęła

pełnymi wargami (co miało oznaczać zadowolenie), czując w sobie przyjemne ssanie – pierwszą oznakę głodu. Pomimo iż instynkt życia pani Lucyny kręcił się koło zupy grzybowej, to duch błądził uważnie po jadalni sanatorium, lustrując uważnie twarze przybyłych. Przy jej stoliku jeszcze nikogo nie było, co wzmocniło jeszcze ciekawość kobiety, gdyż z natury uwielbiała wszelkie przyjemne niespodzianki, szczególnie, gdy tymi niespodziankami byli mężczyźni...

Niedługo czekała. Po lewej stronie Lucyny usiadł, siwiejący na skroniach z lekką acz widoczną już łysiną, mężczyzna o miłej twarzy, łagodnym uśmiechu i naiwnych oczach, ubrany w garnitur, szary krawat i białą koszulę ze spinkami przy rękawach. Ubiorem wyróżniał się spośród innych kuracjuszy, ubranych przeważnie w swetry i luźno rozpięte koszule. Robił wrażenie sztywniaka.

Był to pan Lange z tym przyklejonym, przepraszającym uśmiechem zażenowanego chłopca, jakby chciał powiedzieć „Przepraszam! Nie moja wina, że tu jestem". Obok niego, na wprost Krusickiej, usiadła chuda blondynka, w sukience w kolorze pomarańczy, o podkrążonych oczach, z widocznymi zmarszczkami na dość ładnej jeszcze twarzy.

Kelnerki uwijały się sprawnie po przestronnej jadalni, jasnej, czystej i mocno oświetlonej. Za oknem padał drobny śnieg, choć przez chmury przebijało już słońce, rzucając swe promienie na płaty przybrudzonego śniegu. Kilka wróbli skakało i zbierało rzucone im przez uchylone okno okruszyny chleba.

Była druga połowa lutego, więc słońce już z dużej wysokości spoglądało na stół pani Lucyny.

– Można nalać? – odezwała się tęga kobieta, patrząc uważnie i z zadowoleniem na szczupłego, niskiego mężczyznę. Podniosła chochlę i sięgnęła po talerz pana Jacka – podobał

jej się ten trochę zakłopotany kuracjusz, siedzący sztywno obok niej.

– Nalać? – powtórzyła chowając kąciki ust w pulchnych policzkach i pokazując ładne, choć może zbyt drobne zęby.

– Dziękuję, ale może panie najpierw... Tak będzie praktyczniej! – powiedział Lange z bladym uśmiechem, robiąc wstrzymujący ruch dłonią. Pani Lucyna nie zgodziła się jednak i zamachnęła się kilka razy chochlą. Maczając czerwony paznokieć w zupie, podała pełny talerz onieśmielonemu i zaskoczonemu nieznajomemu.

– Proszę, panie... panie... – Do pełna?

– Dziękuję, nie trzeba było... naprawdę to za dużo dla mnie... – zaoponował.

– Och, jest pan mężczyzną, a chłop musi zjeść, aby mieć siłę do wszystkiego... – w tym miejscu rzuciła wymowne spojrzenie na coraz niepewniej czującego się pana Jacka.

– To miło, że pan będzie z nami przy stoliku, panie... panie... – zaszczebiotała po krótkiej przerwie. Z jadalni dobiegły ich ciche rozmowy, brzęk talerzy, wszędzie rozchodził się zapach grzybów.

– Nazywam się Lange, Jacek Lange... Bardzo mi przyjemnie... – prawie szeptem odpowiedział pomiędzy jedną a drugą łyżką zupy.

– Bardzo lubię to imię, zawsze brzmi ono zdrobniale, ale jak ja będę zwracać się do pana – Jacuszek, dobrze?

Nie odpowiedział. Spuścił tylko niżej głowę jakby szukał w talerzu trującego muchomora. Coś ciężkiego wewnątrz piersi zaczęło mu skakać od żebra do żebra i dławiło w gardle. Ta pulchna kobieta miała coś z apodyktyczności jego szefowej, chociaż obie różniły się celami, do których dążyły.

– Proszę do mnie mówić Lucyna... Lusia, Lucynka... – nie skończyła, gdyż kilka łyżek zupy utkwiło jej w ustach. Kiedy

przełknęła, zaczęła opowiadać o poprzednich turnusach, które miała już za sobą, o zabiegach na różne dolegliwości i ich skutkach. Głos miała śpiewny, miły dla ucha, niczym głos podrastającej panienki – brzmiały w nim uwielbienie dla siebie, tęsknota za ludzką serdecznością i nuta żalu do mężczyzn, którzy nigdy nie rozumieli dobroci jej serca. Monolog pani Lucyny przerwał dopiero syk blondynki.

– Zimna zupa! – odsunęła talerz od siebie, powiodła wzrokiem po twarzach sąsiadów i nie znajdując potwierdzenia znowu zabrała się do jedzenia dodając – Nie dość, że zimna to jeszcze niedosolona!

Ponieważ syk blondynki w pomarańczowej sukni jawnie kontrastował z zapachem i smakiem zupy, pani Lucyna uważała za stosowne sprostować tę niefortunną wypowiedź.

– Nie wiem gdzie pani jada, ale ja znam się na kuchni i uważam, że zupa jest znakomita... – tu nastąpiło szerokie uzasadnienie, które skończyło się, gdy pani w pomarańczowej sukni przełknęła ostatnią porcję nieszczęsnej zupy. Pani Lucyna, podczas udzielanej reprymendy, stale zerkała na sąsiada po lewej stronie, który wyczuwając jej wzrok spuszczał coraz niżej głowę, pokazując zarysowujący się pasek łysiny przechodzący przez środek włosów. Po chwili Jacek Lange miał jeszcze jeden dowód na to, że kobiety łatwo nawiązują kontakt ze sobą, mają zawsze o czym opowiadać i szybko się zaprzyjaźniają, nie skąpiąc sobie wielu tajemnic z ich intymnego życia.

To było to, czego najbardziej zazdrościł kobietom, właśnie tej łatwości wzajemnego poznawania siebie.

Nie warto kobietom ufać.

Tak było i w tym przypadku. Beata Ziaja – bo tak się nazywała kobieta w pomarańczowej sukni, szybko odpuściła grubej kobiecie, czynione pod jej adresem złośliwe uwagi o brakach

znajomości sztuki kulinarnej i przeszła w poufały ton. Z rozmowy obu pań pan Jacek szybko poznał sytuację majątkową i rodzinną kobiet. Krusicka miała duży ogród i trzysta drzew owocowych i była rozwódką bez dzieci. Ziaja miała willę nad jeziorem, bogatego i uczonego męża i dwoje genialnych dzieci, oczywiście.

Tymczasem młoda, miła kelnerka podała drugie danie: ziemniaki, sałatę i stek przybrany podsmażaną cebulą.

Kiedy obfite piersi pani Lucyny pochyliły się nad talerzem, a podwójne podbródki nabrały rytmicznych ruchów od przeżuwających szczęk, zapanowała upragniona cisza. Nie trwała jednak długo.

Po pierwszych kęsach rozległ się jej słodki głos, informujący o niewątpliwie istotnych sprawach związanych z jej pierwszym i ostatnim w życiu małżeństwem. Oczy, ukryte gdzieś głęboko w szerokiej pulchnej twarzy, świdrowały przy tym uporczywie biednego pana Jacka, który zaczął marzyć o zapadnięciu się pod ziemię. Połykał szybko kawałki źle pogryzionego steku w nadziei, że przyspieszy tym swoje odejście od stołu. Pani Lucyna zaś mówiła pieszczotliwie i z wdziękiem, chcąc wyraźnie zainteresować sobą tego miłego sąsiada, tak starannie ogolonego i gustownie ubranego.

Kwiaty na stole zwrócone ku oknu wyglądały na zmęczone, kilka płatków opadło na serwetki. Lange lubił kwiaty, więc patrzył na nie z żalem.

Kilku kuracjuszy skończyło posiłek i wyszło na korytarz pozostawiając po sobie smutne resztki pożywienia. Stukot odsuwanych krzeseł mieszał się z dzwonieniem, zbieranych przez kelnerki, talerzy.

Kiedy pan Jacek uporał się wreszcie ze stekiem usłyszał tuż nad prawym uchem okrzyk:

– O Boże, znowu ty!

Lange podniósł głowę i ujrzał młodego człowieka w zielonym ubraniu, o bujnych, jasnych włosach, ładnej, ujmującej twarzy z prostym nosem, pod którym widniał starannie przystrzyżony wąs. Młodzieniec miał szybkie, zwinne ruchy, wyjątkowo pasujące do sportowej sylwetki.

Lange nie mógł się zorientować czy był to głos radosnego powitania czy jęk rozpaczy. Pani Lucyna zapiszczała z radości.

– Henryk! Nawet nie wiesz jak się cieszę... – upuściła widelec i nóż, i zatrzepotała rękami jak ważka nad tatarakiem. Twarz jej rozpromieniła się w szczerym uśmiechu, który uczynił ją jeszcze szerszą. Otarła w pośpiechu czoło z kropelek potu używając do tego serwetki.

Przybyły raczej nie odwzajemniał jej radości. Bez zbędnych ceregieli chwycił za talerz, nalał wystygłą zupę i z dużym apetytem zaczął jeść. Po kilku łyżkach zapytał:

– Co dzisiaj mamy dobrego na drugie?

– Stek, pełno w nim żył. A ziemniaki to chyba pastewne! – powiedziała Ziaja z kwaśną miną sięgając po kompot.

– No cóż, bywa i tak! – powiedział beztrosko przybyły i uśmiechnął się rozbrajająco, po czym powiedział dwa udane kawały wywołując nawet uśmiech pani Beaty.

Nie wiedząc czemu, Jacek Lange nagle poczuł niechęć do tego swobodnego człowieka. Było w nim coś, o czym on, Jacek (nie lubił swojego imienia), nie raz, nie dwa marzył w skrytości siedząc w fotelu przed telewizorem; czar, lekkość życia, jakie miał ten przybyły wesołek. Była w tym młodym mężczyźnie swoboda, pewność siebie, bezproblemowość odbioru spraw tego świata, lekka ironia i bijące w oczy zadowolenie ze wszystkiego, co go otaczało. Jednym słowem – był jego, Jacka Lange, negatywem, jeśli można tak powiedzieć.

Pan Jacek westchnął głęboko do swoich myśli, co nie uszło uwadze pani Lucynie.

– O, panie Jacuszku, panowie się przecież nie znacie! To jest właśnie Henryk, mój... – Krusicka nagle zawahała się, poprawiła na krześle i widelcem dziobnęła w niedokończony stek.

Dziwne, ale ta nachalna kobieta jeszcze się czerwieni! Już się mizdrzy do tego wesołka. – Były to pierwsze przytomne spostrzeżenia dokonane przez Jacka, widocznie atmosfera pewności, jaką roztaczał przybyły, wzmocniła jego niechęć do tej grubej kobiety.

– Pan Henryk Ptak i pan Jacek Lange! – dokończyła prezentację pani Lucyna, chowając kąciki ust w zaróżowione policzki.

– Miło mi. – skłonił się uprzejmie Lange.

– Dobra! – kiwnął głową Henryk i po chwili dodał: – Wspaniały dzisiaj śnieg, trzeba założyć narty i na stok! Jedzie pan?

– Ja, ja pójdę z tobą Henryku! – zaśpiewała wysokim tonem tęga kobieta.

– Dobra, jedź! – ostatni kęs steku zginął w jego ustach.

– Za zimno! – oznajmiła Beata Ziaja zerkając w okno. Jak na złość śnieg przestał padać, rozstąpiły się chmury i wyszło słońce. Pogoda zapraszała do spaceru.

– Ale ja nie mam nart, Henryku, co mam robić? – pisnęła nagle z rozpaczą w głosie pani Lucyna.

– Wiem, i nie umiesz jeździć. Najlepiej będzie jak zaprosisz kogoś na kawę i pójdziesz do „Zdrojowej"! – zaśmiał się Henryk, patrząc spokojnie na wydęte w obrazie majestatu usta Lucyny.

Po chwili skierował pytanie do Jacka:

– No, a pan? W górach jeszcze śnieg się trzyma...

– Niestety, przykro mi, ale nie umiem jeździć, kiedyś w młodości... – próbował się usprawiedliwić, jednak nikt go nie

słuchał. Obrażona pani Lucyna, z pewną dozą poufałości nie bez powodów, rozpoczęła tyradę pretensji do młodego człowieka, który wyraźnie był tym ubawiony.

Jacek Lange szczęśliwy, że tych dwoje zajętych było sobą, a Beata Ziaja milczała patrząc bezmyślnie w pusty talerz, rozejrzał się po sali. Pomimo, iż dzień był jasny, co drugi kinkiet błyszczał kryształowym światłem tworząc miły nastrój. Obrazy umieszczone na ścianach i słupach potęgowały to odczucie. Sala powoli pustoszała. Przy niektórych stolikach siedzieli jeszcze kuracjusze. Pili kompot lub pochylali się ku sobie nad pustymi talerzami. Z kuchni dobiegał brzęk mytych talerzy.

Duży kwadrat słonecznego światła odbijał się od parkietu podłogi. Pod jednym ze słupów trzy stoliki były jeszcze zajęte i ku nim Lange skierował wzrok. Z obserwacji wyciągnął prosty wniosek: kobiety dbają o siebie bardziej niż mężczyźni – i mają w sanatorium dwukrotną przewagę.

– Rozczulają się nad sobą, stare kwoki! – pomyślał zgryźliwie, patrząc na siedzące kobiety. Wszystkie miały w sobie coś z szefowej z banku. Jego usta wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

Nagle zadrżał na całym ciele i jak sparaliżowany utkwił wzrok w spojrzeniu rzuconym mu z sąsiedniego stolika. Na chwilę stracił oddech.

Ciepła fala przebiegła przez jego ciało. Jakaś wewnętrzna otoczka obojętności na uroki kobiet, po raz pierwszy od wielu lat, pękła jak skorupka jajka rzuconego do gorącej wody. Trzask! Obudziło to w nim dziwny niepokój, który zaraz objawił się kołataniem serca. Nie mógł oderwać oczu od twarzy o drobnych rysach ukrytej w długich, czarnych włosach spiętych z tyłu w koński ogon i od tych źrenic: czarnych i błyszczących jak dwa diamenty.

Kobieta, przypuszczalnie w wieku około dwudziestu sześciu lat, trzymając filiżankę przy jędrnych, wiśniowych ustach patrzyła na niego z lekkim uśmiechem Wreszcie speszony spuścił wzrok na zwiędłe kwiaty, które wydawały się mu teraz nad wyraz piękne.

Choć skończył już jeść i mógł odejść – o czym niedawno marzył – teraz siedział jak przykuty do krzesła. Nie słyszał nawet monologu pani Krusickiej, ani słowa „Dziękuję" Beaty Ziai, która wstała od stołu. Wyobraźnia mężczyzny, oczarowanego kobietą, pracuje stokrotnie szybciej niż normalnie, kiedy plącze się w szarości zjawisk pozbawionych cech romantyzmu.

– Oczarowanie – tak, to właściwe słowo!

Jacek Lange był oczarowany urokiem jednego spojrzenia i lekkiego uśmiechu. Wydawało mu się, że w tych gestach było wyzwanie, wołanie serca o serce! Marzenia, w które zawsze tak łatwo wpadał, przerwało dotknięcie pulchnej dłoni o palcach ozdobionych złotymi pierścionkami z turkusami i koralami. Jednocześnie usłyszał melodyjny cichy szept:

– Chodźmy już, Jacuszku! Nie ma już co jeść... – westchnęła z żalem spoglądając na stół.

Kiedy wychodził z jadalni z dłonią ujętą mocnym uściskiem ręki pani Lucyny, dostrzegł wesołość w oczach czarnowłosej dziewczyny i poczuł wzbierającą złość do prowadzącej go tęgiej kobiety.

*

Pasmo gór ciągnęło się z zachodu na wschód, zmieniając swoją rzeźbę – od niskich wzniesień aż po duży masyw ukoronowany szczytem ginącym w chmurach. Pośrodku wzniesień

malowniczo odcinały się ruiny starego zamczyska, którego baszta odbijała promienie słońca, dzięki czemu wydawała się wyższa i bielsza niż była w rzeczywistości. Poniżej zalegała płaska dolina przecięta dwoma strumykami, zlewającymi się w jedno koryto rzeki. Nad tą wodą leżało właśnie to miasteczko o sławie kurortu.

Historia jego powstania obrosła w legendę o pięknym księciu, zaklętej dziewicy o włosach podobnych do tych strumyków, mówiących łagodnym szmerem o miłości dwojga, o ciepłych wodach odkrytych przez księcia w czasie polowania i o ich cudownych właściwościach leczących wszelkie choroby.

Tymi wodami, piękny i zakochany królewicz uratował dziewicę z objęć okrutnej śmierci.

Sanatorium, a właściwie szpital sanatoryjny o nazwie „Ciepły Zdrój", był największym z kilku obiektów o podobnym przeznaczeniu rozmieszczonych w uzdrowisku i jego okolicy. Dzielił się na kilka oddziałów, w tym: urologiczny, rehabilitacyjny i reumatologiczny. Z holu, gdzie mieściła się recepcja, wchodziło się na piętra. Na parterze dyżurne pielęgniarki miały swoje pokoje z widokiem na wchodzących i wychodzących. Na piętrach mieściły się pokoje zabiegowe i mieszkalne.

W piwnicy wybudowano baseny kąpielowe w kształcie okrągłych wanien – w każdej z nich mogło się zmieścić kilka osób. W sąsiednich pomieszczeniach wykonywano okłady borowinowe i bicze wodne. Pijalnia wód leczniczych znajdowała się na pierwszym piętrze, lecz dzięki ukształtowaniu terenu, główne wejście – od strony zachodniej – znajdowało się w parku, na poziomie licznych ścieżek wijących się wśród drzew. Duże rzeźbione drzwi zachęcały kuracjuszy i turystów do wejścia, a miły nastrój i szmer wypływających wód zapraszał do picia. Pod ścianami ustawione były krzesła skąd można było patrzeć

na dużą muszlę wykutą w kamieniu, pośrodku której tryskało główne źródło wody – często ostatniej nadziei pacjentów dotkniętych ciężkimi schorzeniami.

Pomimo że ludzie kręcili się koło fontanny i bocznych źródeł, było tu spokojnie i cicho. Jacek Lange poprzez duże liście palmy, siedząc na jednym z krzeseł pod ścianą, leniwie obserwował salę, pijąc źródlaną wodę z kubka.

Do obiadu było sporo czasu, a wizytę u lekarza miał wyznaczoną po południu, więc nie spieszył się. Patrzył na ludzi – przeważnie starych, starannie maskujących swój wiek farbowanymi włosami lub wąsami, w miarę schludnym ubiorem, uśmiechniętymi twarzami, z których wyglądały przygasłe oczy. Kobiety ratowały swoją dawno utraconą urodę warstwami kremów, pudrów i szminek. Zachowywały się trochę groteskowo, wcielając się – z własnego wyboru – w rolę kilkunastoletnich kokietek.

Jacek siedział w pijalni już około dwie godziny, tak przynajmniej wynikało z dużego zegara wiszącego na ścianie. Czas było wracać. Wypił więc ostatni łyk wody i wstał. Nie zrobił jednak kroku – upadł z powrotem na krzesło. W drzwiach pomiędzy pijalnią a szpitalem ukazała się czarnowłosa dziewczyna. Była to ta sama piękność, która uśmiechała się do niego w jadalni. Monika Kunicka, po matce pół-Greczynka.

Patrzył na nią rejestrując każdy jej ruch. Ona tymczasem podeszła do fontanny, nabrała wody do kubka, włożyła słomkę i pijąc zaczęła rozglądać się po holu. Cień rozbawienia przemknął po jej twarzy, kiedy zobaczyła wpatrzone w nią okrągłe oczy tego dziwnego, trochę śmiesznego mężczyzny, którego widywała w jadalni sanatorium.

Lange zamknął oczy z wrażenia, kiedy zobaczył, że dziewczyna idzie w jego kierunku. Zdążył jednak zauważyć jej zgrabną

sylwetkę i eleganckie ruchy. Miała na sobie kolorowy sweter i ciemną spódniczkę, a czarne, rozpuszczone włosy falowały na jej ramionach.

– Przepraszam, czy to krzesło jest wolne, można? – usłyszał tuż koło siebie. Otworzył oczy. Stała nad nim z tym grającym na ładnych ustach uśmiechem. Czuł gulę w gardle, która zaciskała mu struny głosowe. Ledwo potrafił wykrztusić chrapliwe słowa:

– Tak... proszę...

To było wszystko, na co go było stać w tej chwili.

Milczał. Zegar ścienny wskazywał na mijający czas, a wskazówka sekundnika ponaglała do przełamania nieśmiałości ogarniającej wszechwładnie jego ciało. Miał poczucie własnej słabości i bezradności i już wiedział o swojej klęsce. Gorycz wzbierała w jego sercu.

Wstał, by odejść.

Czarnowłosa spojrzała na chudego mężczyznę, tak uparcie milczącego. Uśmiechnęła się i spytała tonem, w którym brzmiała lekka nutka rozkazu:

– Jeżeli idzie pan po wodę, to proszę i mnie nalać! – wyciągnęła rękę i podała mu kubek. Rumieniec wślizgnął się na policzki pana Jacka. Skwapliwie chwycił kubek i podszedł do fontanny. Woda lała się wąską strugą, obijała o ścianki obudowy zdroju i kryształowymi kulkami uderzała o marmurową płytę muszli. Patrzył jak woda przelewa się ponad brzegami podstawionego naczynia, oblewając mu zimnem dłoń. Nie spieszył się, celowo zwlekał chcąc się uspokoić i opanować wzruszenie.

Wrócił już znacznie spokojniejszy i wręczył dziewczynie kubek. Podziękowała uśmiechem i wesołym spojrzeniem. Potem zaczęła mówić o właściwościach tutejszych wód. Głos miała łagodny, kojący, czasami przechodzący w lekko drwiący ton. Kiedy zamilkła, Lange powiedział trochę żałośnie:

– Nie mogę tu spać. Dzisiaj budziłem się trzy razy, noc praktycznie mam zarwaną... usnąłem dopiero po proszku nasennym...

– Wszyscy tu się skarżą na bezsenność, zwłaszcza w okresie aklimatyzacji, szczególnie ludzie z chorym układem krążenia... – zamyśliła się na chwilę po czym dodała:

– Tyle tu nieszczęść, tyle nieszczęść...

Jakby na potwierdzenie jej słów przez hol przejechał wózek inwalidzki pchany przez pielęgniarkę, na którym siedziała młoda dziewczyna dziwnie wykrzywiając twarz w głupkowatym uśmiechu. Kaleka, imieniem Teresa, miała chude, zniekształcone dłonie, nieruchome, zwisające bez czucia nogi i mały garb na plecach. Pomimo strasznego kalectwa i dziwnej mimiki, jej młoda twarz wydawała się ładna, ale ze znamionami przeżytych cierpień i ze smutkiem w dużych sarnich oczach.

– Tyle tu nieszczęścia się widzi, panie Jacku... – powtórzyła Monika cichym głosem, w którym brzmiało współczucie i zaduma.

Nagłe zdziwienie przeplatane radością. – Znała jego imię!

Milczeli oboje patrząc za znikającym w długim korytarzu wózkiem. Oboje myśleli o czymś innym: ona o biednej Teresie, on przeżywał w myślach melodię swego imienia brzmiącą tak słodko w szumie fontanny...

Po chwili dziewczyna zapytała:

– Mogę pana zaprosić na kawę? Podobno w „Zdrojowej" dają nie najgorszą.

Coś się w nim otwierało, jakieś dziwne uczucie, gdzieś z pogranicza marzenia i realności, wzniosłości i szczęścia. Wyschnięte jezioro uczuć zaczęło napełniać się pierwszymi kroplami ożywczego deszczu.

*

Doktor Walczak siedział znudzony i myślał o tym, że siostra Jasia ma nogi dostatecznie ładne, aby określić jej figurę jako zgrabną. Czuł się fatalnie i patrzył niechętnie, przekrwionymi oczami, na mały gabinet, po którym kręciła się młoda jeszcze pielęgniarka. Zostało mu kilkanaście minut do przyjęcia pierwszych pacjentów a on ledwie mógł odróżnić kontury nóg swojej pomocnicy. Tak bardzo bolała go głowa, że ciemne płatki latały mu przed oczami. Uprzednio przeglądał kartoteki i skierowania pacjentów, nie dostrzegając w nich nic ciekawego – wszystko to samo, z turnusu na turnus, nuda i nic więcej! Nawet w rubrykach „zawód" nikt nie wpisał czegoś ciekawego. Inżynier, ślusarz, kupiec, pracownik umysłowy, technik, krawcowa, robotnik, ekonomista... i takie tam inne, nic nie mówiące mu słowa.

Przypomniał sobie, że w ubiegłym roku jedna młoda kobieta napisała z rozbrajającą szczerością: „Prostytutka". Było to wreszcie jakieś wydarzenie. Próbował jej nawet wyperswadować tę otwartość.

– Proszę napisać cokolwiek, na przykład: robotnica, masażystka, cokolwiek!

Ale ona śmiała się i mówiła:

– Po co? – każdy tu pisze co chce, jak głupia rubryka to i głupia odpowiedź. Przecież tu nikt nie pisze prawdy, zresztą, jakie to ma znaczenie jaki kto ma zawód? Nie zawód macie leczyć, tylko człowieka z choroby. Śmiała się przy tym ujmująco i Walczak nie wiedział co jest prawdą a co kłamstwem.

W sanatorium zachowywała się bardzo poprawnie i trzymała się – można by rzec demonstracyjnie daleko od mężczyzn, którzy kleili się do niej jak muchy do miodu.

Wyciągnął chusteczkę, którą trzymał w szufladzie biurka i otarł pot z twarzy.

– Kiedy skończę tę cholerną robotę, to wezmę sobie kąpiel perełkową, może mi ból przejdzie...

Popatrzył na siostrę ale ta pokręciła tylko głową. Nie brała tych słów poważnie. Krzątała się koło szafki porządkując ampułki z lekarstwami. Była po nocnym dyżurze i czekała na siostrę Dorotę, która pewnie się spóźni, jak zwykle zresztą...

Noc minęła spokojnie i typowo: rozdała parę proszków od bólu głowy, kilka nasennych i aspirynę. W książce zdania dyżuru napisała: „Pacjentka spod 12 źle się czuje, narzeka na nerki – wymagana szybka pomoc". Dalej następowały szczegóły. Potrzebowała teraz zgody i podpisu siostry Doroty, aby wreszcie pójść po zakupy i udać się do domu.

– Przejdzie mi, Jasiu? – chrypiał płaczliwie szukający współczucia lekarz. Wzruszyła ramionami. Była przyzwyczajona do skacowanego doktora – prawie zawsze przychodził trzeźwieć w pracy.

– Może podać panu kawy? – zaproponowała rzucając wzrokiem na czajnik stojący w pobliżu okna.

– Nie, dziękuję, kawa mi nigdy nie pomaga! – obserwował ukradkiem odwróconą tyłem do niego siostrę, wyczekał odpowiedni moment, wyciągnął z bocznej szafki biurka małą butelkę i szybkim ruchem pociągnął spory łyk. Kiedy flaszka z powrotem zniknęła w biurku, sprawdził siostrę Jasię – skonstatował z zadowoleniem, że nic nie widziała.

Przez pewien czas w gabinecie słychać było tylko brzęk ustawianych naczyń. Powoli ból ustępował i wewnętrzne drgania jakie odczuwał stawały się coraz mniejsze – zaczął wyraźniej dostrzegać otoczenie swojego biurka.